

Romuald Tadeusz Bławat, *Stolem z morza i Kaszub. Życie i twórczość Mariana Mokwy (1889–1987)*, Wydawnictwo „Bernardinum”, Pelplin 2011, ss. 253 + 3 nlb., ISBN 978-83-62994-92-2 (oprawa miękka) i 978-83-62994-93-9 (oprawa twarda).

Postać – życie i twórczość – Mariana Mokwy, będąca obecna na kartach niejednego opracowania dotyczącego dziejów i kultury Kaszubów i Pomorza, jako najwybitniejszego kiedyś malarza kaszubskiego i marynisty polskiego, zasługuje nie tylko na jedną pełną biografię – pracę naukową. Z notki bibliograficznej i fragmentów profesorskich opinii, opublikowanych na ostatniej stronie okładki recenzowanej książki, można by sądzić, iż takie właśnie dzieło – pracę naukową – opublikowało Wydawnictwo „Bernardinum”. Na tejsze okładce znajdujemy też fotografię autora Romualda Tadeusza Bławata wraz z informacją: „Urodził się w Gdyni, jest doktorem nauk humanistycznych, stypendystą Centro Incontri e Studi Europei w Rzymie, a także współautorem i realizatorem międzynarodowych projektów finansowanych przez Unię Europejską. Autor wstępów do książek historycznych i wielu artykułów z dziedziny historii sztuki i ochrony zabytków publikowanych w pismach naukowych i centralnych periodykach”. Nota powyższa brzmi, podobnie jak cytowane opinie recenzentów, bardzo poważnie i zachęcająco. Problem tylko w tym, że na stronie redakcyjnej brak nazwisk recenzenta wydawniczego / recenzentów wydawniczych. Podejrzewam, że ich nie było! Cytaty na okładce i w „Słowie wprowadzającym” to fragmenty opinii recenzentów, ale... w przewodzie doktorskim.

Do sięgnięcia po książkę zachęca także okładka, dzięki reprodukcji obrazu Mistrza – „Kępa Redłowska”. Przyciąga ona uwagę czytelnika liczącego, że otrzymuje solidną naukową biografię M. Mokwy. Niestety, już lektura pierwszych stron rozczarowuje, a z każdym zdaniem pogłębia wątpliwości...

Elementem budzącym zdziwienie, szczególnie w pracy naukowej, jest „Słowo wprowadzające” Anny Pavlovych, która na stronie redakcyjnej figuruje jako redaktorka książki obok Barbary Bławat-Dorszyńskiej. Pierwsze zdanie tego wprowadzenia głosi: „Oddajemy do rąk Czytelników niezwykle interesującą książkę poświęconą Marianowi Mokwie – jednemu z najwybitniejszych marynistów polskich” (s. 5). Dalej czytamy, że jest to „przetwo-

rzona i spopularyzowana [sic!] na użytek odbiorcy rozprawa doktorska” (s. 5), napisana pod kierunkiem prof. dr. hab. Andrzeja K. Olszewskiego z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, autora wielu książek i publikacji... W kolejnych akapitach mowa m.in. o wielu latach pracy – kwerendy źródłowej autora w kraju i zagranicą. A. Pavlovych pisze, że praca R. T. Bławata „nie jest typową biografią [...], raczej esejem monograficznym i to bogato inkrustowanym pięknymi opisami [sic!] dzieł artysty. Gros z nich nie jest znana szerzej publiczności, ani wcześniej nigdzie publikowana” (s. 6). Autorka wstępu stwierdza nawet, że część tych prac została sensacyjnie odkryta (!?). Co więcej – jej zdaniem rozprawa „koryguje wiele błędów” (s. 6). Redaktorka przy tym cytuje recenzenta rozprawy doktorskiej (lecz nie samej książki!), prof. Jana Wiktora Sienkiewicza z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wykładowcy na uniwersytecie w Londynie, iż „Jest to dzieło kompletne [...]” (s. 6). Dla drugiego recenzenta, prof. Waldemara Delugi, „najciekawsza jest pierwsza część [...], która dotyczy wczesnej twórczości artysty. Jest ona nieznana badaczom i jednocześnie zmienia ocenę artysty, który kojarzony jest jedynie z wybranymi motywami morskimi. [...]” (s. 7).

Uff! Chciałoby się, by wszystko to było oparte na faktach, by autor i recenzenci nas nie wprowadzali w błąd. Tymczasem, co akapit czy zdanie w tymże słowie wstępnym – redaktorki i recenzentów – to multum wątpliwości i... żalu ze straconej okazji.

Praca miała być popularna, ale przecie także naukowa. Pozory naukowości zachowywane są na każdym kroku, o czym świadczą przypisy na niemal każdej stronie. Przede wszystkim gwarantem naukowości ma być obfita bibliografia. Niestety, jakość tejże bibliografii bardzo daleka jest od tego, czego wymaga się choćby od prac licencjackich. Pomieszczenie z poplątaniem, niepełne i nieprecyzyjne noty bibliograficzne budzą wątpliwości co do warsztatu naukowego nie tylko doktora. Jest tu bardzo wiele swoistych, może „arty-stycznych” innowacji, albo też i coś z warsztatu historyków sztuki. Nie sądzę jednak, by dotąd znany mi sposób sporządzania bibliografii uległ tak dalece, niektórzy mówią, „amerykanizacji”, że wszystko już wolno...

O bibliografii mówi się zwykle na końcu, ale tu trzeba się przy niej zatrzymać na początku, bo to fundament dzieła. Pierwsza część bibliografii to „Archiwalia”, gdzie każde źródło wyszczególniono oddzielnie, niczym samodzielny druk, którego autorem (właścicielem) jest konkretne archiwum. Pamiętając, że w „Słowie wprowadzającym” mowa o szerokiej kwerendzie w archiwach Pomorza oraz m.in. Warszawy, Berlina, Monachium i Norymbergi, dziwi fakt, iż wśród aż 13 pozycji (!) trzy to: zachowana w Archiwum Diecezji Pelplińskiej „Księga uczniów 1869–1920, Collegium Marianum” (wydana zresztą drukiem, czego autor nie zauważył) i dwa maszynopisy prac dyplomowych, kiepsko opisanych (bez nazwisk promotorów, uczelni, roku...), skądinąd zresztą znanych już badaczom... Dwie pozycje pochodzą z Archiwum Państwowego w Gdańsku – „Akta Miasta Sopotu z 1921 roku” (!? – jakie, sygnatura?) i „Pisma Państwa Mokwów z [...]” (trzy daty, brak zespołu, sygnatury). Jest też „Archiwum Urzędu Miasta Gdyni (Architekta Miasta), Karta nieruchomości domu mieszkalnego i Galerii Morskiej, 1933–1934 r.”

Dalsze trzy pozycje przypisane są do Berlina. Przywołam je tu w pisowni podanej w książce, bo świadczą one albo o niechlujności korekty, albo też o zupełnej ignorancji autora. Pierwsza to więc „Akta Uniwersytet der Kunst w Berlinie, Bestand 6 nr 203”. Druga to „Gedenkblatt für der Fritz von Kuczowski, Berlin 1890”, a trzecia „Gothaisches Genealogisches Taschenbuch der Abeligen Hauser Alter Abel und Brisabel, Berlin 1928”.

Przeglądając tak sporządzoną bibliografię w części archiwalnej, stwierdzam, że autorowi i promotorowi oraz recenzentom było zapewne trudno rozróżnić archiwalia od źródeł drukowanych...

Kolejna pozycja brzmi „Księga Wieczysta, t. 28, wykaz 793 (Protokół zdawczo-odbiorczy konfiskaty nieruchomości – budynek Galerii Morskiej z dnia 28 VIII 1950 r.)”. Gdzie jej szukać? Trzeba się domyślać, ale też można przypuszczać, że autor korzystał z odpisu w zbiorach rodziny bohatera książki, o czym za chwilę. Do wykazu „Archiwalia” dochodzą jeszcze zapisy: „Liber Baptisatorum 1889–1896 Parafii Wiele”, „Matrikelbuch 1884–1920, Universitatarchiv Munchen” i „Spis absolwentów 1900–1908 Starogardzkiego Gimnazjum, Księga Jubileuszowa 1880–2000”. Każda z tych pozycji to coś innego i zarazem sygnał jakości warsztatu naukowego doktora...

Kolejny dział w „Bibliografii” stanowią „Artykuły prasowe”. Mógłby ktoś pomyśleć, że autor przeprowadził ogromną i żmudną kwerendę w niejednej bibliotece. Artykułów są dziesiątki. Zaprezentowano je w układzie alfabetyczno-chronologicznym według tytułów pism, podając datę i tytuł artykułu – z zasady jednak bez... autora!? Nie podano, że cały ten zbiór pochodzi zapewne z domowego archiwum wycinków prasowych M. Mokwy, który przez całe życie skrupulatnie je zbierał i niejednemu z jeszcze żyjących pokazywał, choć rzadko udostępniał...

Uwzględnionych tytułów prasowych jest niemal 60, a artykułów setki, najwięcej z „Dziennika Bałtyckiego” i „Głosu Wybrzeża”. Ale jest też nieznamy mi tytuł „PAP” i obok zapis „9 VII 1947 – 25-letni jubileusz artysty malarza Mokwy”. Tuż obok „Pielgrzym” – już dobrze znany. O ile jednak przy wcześniejszych tytułach prasowych mamy daty artykułów z poszczególnych okresów życia M. Mokwy, to tu przy „Pielgrzymie” cztery numery (15, 16, 17, 22) bez dat dziennych z 1993 r. Odnajdujemy je w czasie lektury całości książki, jako prace autora. Są to artykułiki: *Marynista znad Wdzydz cz. I* (nr 15) i *Marynista znad Wdzydz cz. II* (nr 16) oraz *Galeria Morska Mariana Mokwy cz. III* (nr 17) i *Łukowiczów „silva rerum”* (nr 22). Odkrywczość ustaleń autora książki kojarzyć można z jakością jego odkryć, ujawnionych w tychże artykułkach. Autor nie sięgnął jednak do zbiorów bibliotecznych prasy, także do innych tytułów, choćby do „Biuletynu Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego”, z czasem miesięcznika „Pomerania”. Nie zajrzał też do zbiorów Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, z którym do końca łączyły M. Mokwę bliskie relacje...

Kolejna część „Bibliografii” to „Opracowania”, obejmujące 50 pozycji, a między nimi sporo autorstwa historyków, w tym monografia J. Borzyszkowskiego, „Myśl i działalność społeczna bp. Okoniewskiego”, Pelplin 1996, której... nie znam! Być może chodzi tu o mój artykuł o podobnym tytule, ale to nie monografia¹. Podobnie wygląda pozycja „Bukowski A., Życie kulturalne i literackie w Gdyni w latach 1920–39, Gdańsk 1978”. Monografii takiej nie było i nie ma; jest natomiast artykuł *Życie kulturalne i literackie Gdyni w latach 1920–39*, opublikowany w: *Gdynia: sylwetki ludzi, oświata i nauka, literatura i kultura* (red. A. Bukowski, Gdańsk 1979, s. 91–189)². Żałować można, że autor nie sięgnął również

¹ Zob. J. Borzyszkowski, *Problematyka społeczna w posłudze pasterskiej biskupa S. W. Okoniewskiego*, Studia Pelplińskie, t. 26: 1997, s. 63–77.

² Zob. *Bibliografia publikacji prof. dr Andrzeja Bukowskiego*, oprac. D. Latra, B. Szczęch, Zeszyty Naukowe Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Gdańskiego. Prace historyczno-literackie, nr 10–11, Gdańsk 1986, s. 64.

do spuścizny Andrzeja Bukowskiego, przechowywanej w Dziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Głównej Uniwersytetu Gdańskiego.

Wśród opracowań znajdujemy poważne dzieła naukowe i drobiazgi – publikacje o charakterze popularnym w rodzaju „Filipski E., Sanktuarium kalwaryjskie w Wielu, Pelplin 2000” oraz „Kustosz A., Święte Góry Wejherowskie, Pelplin 1991”, w których trudno odnaleźć nie tylko M. Mokwę, ale choćby coś istotnego związanego z jego życiem. Jest wśród opracowań także taka pozycja jak „Maliński Z., Czasopiśmiennictwo II Rzeczypospolitej, Gdańsk 1969”. Mógłby ktoś pomyśleć, iż dorobek ks. Mieczysława Malińskiego jest autorowi lepiej znany niż prof. Zbigniewa Machalińskiego, ale nie sądzę... (W przypisach, na szczęście, znajdujemy prawidłową postać nazwiska Z. Machalińskiego). Oryginalnie prezentują się również pozycje: „Szews J., Filomaci pomorscy cz. I, 1840–1901, Toruń 1993”; „Trojanowska I., Bedeker kaszubski, Gdynia 1962”; „Żywoty Świętych Pańskich wg P. Skargi, Katowice 1927”³. Uff! Jest też nieznamy mi „Rocznik Gdański, t. I, 2001”. Nie ma natomiast wielu ważnych publikacji A. Bukowskiego, jak artykuł poświęcony czasopismu „Fale” czy choćby *Regionalizm kaszubski: ruch naukowy, literacki i kulturalny* (Poznań 1950). Czasopisma „Fale”, wydawanego przez samego M. Mokwę, nie znajdujemy w dziale bibliografii „Artykuły prasowe”, choć omawia je autor obszernie w zasadniczej części swej książki. Nie zna jednak biografii ich redaktora Franciszka Sędzickiego, pióra Joanny Schodzińskiej, wydanej w 2003 r. (Gdańsk–Wejherowo). Przyznam się, że brak mi słów stosownych do tej rzeczywistości, podpartej autorytetami – promotora, recenzentów i zadowolonych z siebie redaktorów. Błędy i ubóstwo są tu nadto rażące.

Osobny dział bibliografii stanowią „Audycje radiowe i telewizyjne”. Obejmuje on osiem pozycji, niejednolicie zapisanych, przy czym przy kilku podano w nawiasie chyba liczbę stron – np. „(52 s.)”, a tylko raz jeden nazwiska dwóch autorów!? Przypuszczam, że to również owoc nie tyle badań autora w archiwach ośrodków TVP w Warszawie i Gdańsku, ile dostępu do wspomnianego archiwum bohatera książki. Trudno jednak, bym bawił się tu dalej w śledczego. Niemniej każdego z kandydatów na licencjata, magistra, doktora nadal uświadamiamy o nieodzownej potrzebie uczciwości i poszanowania cudzej własności intelektualnej.

Ostatni dział „Katalogi wystaw” obejmuje 33 pozycje, przy czym w żadnym przypadku nie podano autora. Sądzę, że przynajmniej Edmund Kamiński jako były pracownik Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie mógłby się upomnieć o swoje prawa do publikacji, z których dwie – „Jubileusz 60-lecia pracy twórczej malarza Mariana Mokwy [...], Wejherowo 1969” i „Pasje twórczego życia [...], Wejherowo 1979”, jako okolicznościowe wydawnictwo trudno nazwać katalogami wystaw. Znamienne, że wielu spośród obecnych w „Bibliografii” pozycji nie odnajdujemy w przypisach, a tym bardziej brak odniesienia do nich we „Wstępie”, o czym jeszcze nieco dalej.

Sądzę, że na powyższych uwagach niemal można by niniejszą recenzję zakończyć i przejść do refleksji dotyczących stanu studiów uniwersyteckich, zwłaszcza na poziomie doktoranckim, jak i poziomu współczesnego edytorstwa. Generalnie bowiem żal, iż tak ciekawa postać twórcy i skądinąd wspaniały zasób źródłowy, jak i spory dorobek literatury naukowej zostały w dużej mierze zmarnowane. Pamiętam jednak, iż omawiana książka jest

³ J. Szews zadziwić się może przypisaniem mu dorobku Jana Karnowskiego, a I. Trojanowska musiałaby się upomnieć o współautorstwo Róży Ostrowskiej. Z kolei „Żywoty” ktoś przecież musiał opracować!

w zamierzeniach nietypowa i nienaukowa, w co trudno uwierzyć przy tak gęstym angażowaniu tytułów naukowych i autorytetów...

Zawarty w książce „Wstęp” autora niewiele ma wspólnego z tradycją naukową. Przypomina nieco „Słowo wprowadzające”. Tym bardziej się wstydzę, iż wielu zawartych w nim stwierdzeń, sygnalizowanych odkryć nie rozumiem. Odkryciem dla mnie jest zaliczenie przez autora Aleksandra Gierymskiego czy Stanisława Witkiewicza do nurtu marynistycznego. Oni to, jak stwierdził autor już w pierwszym akapicie, „odkrywają morze poza granicami zniewolonego przez zaborców kraju i czynią je głównym tematem swych dzieł” (s. 9). Z pokorą przyjmuję jednak fakt, iż dotąd nie znałem pojęcia „polska talasokracja”, wyjaśnionego na szczęście przez autora. Gorzej ma się stan mojej wiedzy, jeśli idzie o gdańskie piękne weduty rozslawione przez M. Mokwę, czego Gdańsk ponoć nie docenił...

Autor wspomina też badaczy twórczości M. Mokwy, do których ponoć odnoszą się z nieufnością prywatni właściciele dzieł artysty, m.in. z obawy, że „niespodziewanie odkryje [pewnie miało być „odkryją” – J. B.] w ich zbiorze »falszywkę« [...]” (s. 10)!? A dalej przywołuje dokładnie dwie prace magisterskie poświęcone życiu i twórczości M. Mokwy, z których jedna, powstała na UMK w Toruniu, znalazła swoje miejsce w „Bibliografii” jako monografia „Zmorzyński W., Marian Mokwa – malarstwo, Pelplin 2003”. Tymczasem chodzi tu zapewne o wstęp tegoż autora, a raczej jego tekst do albumu pt. *Marian Mokwa – malarstwo* (Pelplin 2003), przywołany dalej we „Wstępie” do omawianej książki. Autor ma więc trudności nawet w zakresie kwalifikacji dostępnych mu prac, rozróżnienia okolicznościowego tekstu od biografii. Za pierwszego biografistę M. Mokwy uznał redaktora Antoniego Chocieszyńskiego, autora artykułu o malarstwie artysty, opublikowanego na łamach „Gryfa” w 1932 r. Przywołał też pośmiertny „zarys biografii artysty” z „Jantarowych Szlaków”, ale pominął wcześniejsze opracowania, jak i późniejsze biogramy, choćby w *Słowniku biograficznym Pomorza Nadwiślańskiego*⁴. Przywołał *Rozmowy z Mokwą* Krzysztofa Wójcickiego, które traktuje zupełnie bezkrytycznie. Z kolei krytykując dotychczasowy stan badań, stwierdzając brak monografii, słusznie niby dochodzi do wniosku: „Niniejsza praca stanowi zaledwie mały krok na polu tych poszukiwań i naukowych dociekań, otwierając miłośnikom spuścizny malarza drogę do dalszych penetracji” (s. 12). To zdanie jednak, w kontekście całości, stanowi fałszywy zgrzyt pseudoskromności... Trudno więc ją dalej, bez użycia mocnych słów, analizować.

Dla pełnego obrazu omawianej książki trzeba przybliżyć jednak jej zawartość. Autor podzielił ją na trzy części w porządku chronologicznym, pozbawione opisowych tytułów: „Część pierwsza 1889–1917” z (pod)rozdziałami: „Dzieciństwo i edukacja na Pomorzu”, „Filomacki bunt”, „Kaszubskie stolemy Reńka”, „Artystyczne studia”, „Dom Kaszubski – »Bazar«”, „Malarz Wschodu”, „Wojenna zawierucha”; „Część druga 1917–1939”: „Powrót na Pomorze”, „Bałtycka wachta”, „»Fale« i artystyczne *credo*”, „Galeria Morska”, „Apoteoza Polski Morskiej”; „Część trzecia 1939–1987”: „Okupacja i lata powojenne”, „Kronikarz etosu pracy na morzu”, „Gdańska Starówka i widoki wybrzeża”, „Tematyka sakralna”, „Ostatni brzeg”.

Jest też „Zakończenie” i wspomniana „Bibliografia”. Po niej zamieszczono tłumaczenia „Słowa wprowadzającego” w języku rosyjskim i ukraińskim: „Краткое введение”

⁴ Zob. *Słownik biograficzny Pomorza Nadwiślańskiego*, t. 3, red. Z. Nowak, Gdańsk 1997, gdzie autor biogramu, Wojciech Zmorzyński, przywołuje dotąd najlepsze albumowo-katalogowe opracowanie Krystyny Fabijańskiej-Przybytko na pierwszym miejscu, jak i jej *Morze w malarstwie polskim* (Gdańsk 1990), nieobecne w „Bibliografii”.

i „Короткий вступ”; oba bez podania nazwisk tłumaczy. No cóż – słowo wprowadzające zamieszczone na końcu książki to kolejna „innovacja” tej publikacji. Jeszcze dalej zamieszczono „Summary”, czyli streszczenie w języku angielskim, którego autorką-tłumaczką (?) jest Barbara Bławat-Dorszyńska...

Zasadniczą część pracy czyta się jak ciekawą gawędę przewodnika – nie tyle tego oprowadzającego po wystawie, co raczej po mieście, prezentującego dzieła malarza, odwołującego się do różnych faktów i mitów, przekazującego je czytelnikowi bez niezbędnego minimum krytyki naukowej, choć z użyciem przypisów. Gawędziarski styl podkreśla swoista poufałość autora z samym bohaterem i jego rodziną – np. podpis na stronie 100, gdzie czytamy „Katarzyna O’Brian de Lacey – matka Stefy, żony Mokwy, zdjęcie z 1890–1900”. Na stronie 101, czyli obok, podpis głosi „Hrabia Maksymilian Łukowicz (ojciec Stefy) przed swoim domem w Adelajdzie w Australii, zdjęcie z 1890–1900”. Tu nawet przedstawiciele rodziny Łukowiczów, konsekwentnie prezentującej swój szlachecki rodowód, mogą być zaskoczeni tytułem hrabiowskim, którego dotąd nikt nie ujawniał, a i żadne akta nie odnotowały. Zachodzi podejrzenie, że autor nie zna języka niemieckiego i coś nie tak odczytał, nie tylko z przywołanego w „Archiwaliach” „Gothaisches Genealogisches Taschenbuch der Abelingen [sic!] Hauser Alter Abel [sic!] und Brisabel [sic!], Berlin 1928”. Czyżby biblijna opowieść o Kainie i Ablu przysłoniła autorowi oczy przy analizie rodzinnych mitów M. Mokwy, uniemożliwiając odczytanie gotyckiego druku, a cóż dopiero takiegoż pisma – rękopisów!? Szkoda, że autor, przywiązując tak wielką wagę do rodzinnej tradycji M. Mokwy, nie skorzystał z pomocy genealogów, którzy mogliby mu ułatwić zapowiadane sprostowanie choćby jednej z wielu nieścisłości, bez krzywdy dla wielkości artysty. Albowiem, co wolno artyście, wspominkarzowi, nie uchodzi badaczowi, historykowi, także doktorowi historii sztuki.

Wypadałoby może tu wszystkie nieścisłości w monografii R. T. Bławata próbować sprostować. Z góry jednak stwierdzić trzeba, iż na to potrzeba by drugiej monografii jego błędów, a tym bardziej nowej pełnej biografii życia i twórczości M. Mokwy, który sam nie jeden mit stworzył, spopularyzował, dzięki K. Wójcickiemu i jego *Rozmowom z Mokwą*.

Znamienne dla rzeczywistości społeczeństwa polskiego jest niemal powszechne nie tyle przyznawanie się (to żaden wstyd!), co przypisywanie się do szlacheckiego rodowodu. Gorzej, gdy powtarzają to bezrefleksyjnie niektórzy badacze. Stąd wciąż zaskakuje mnie i męczy czynienie z gburskiej (chłopskiej) rodziny i zagrody Mokwów rodziny szlachecko-ziemiańskiej i majątku. W ich zagrodzie jeszcze dziś autor doszukał się pozostałości czworaków dworskich, a w księdze chrztów zapis zawodu ojca Mariana „POSIADACZ ZIEMSKI” (s. 18). Niestety, tu znowu brak znajomości języka, a przydałaby się choćby w postaci ilustracji metryka, która pozwoliłaby skonfrontować odkrycie autora ze źródłem. Zawód ojca Mariana zapisano tam jako „Besitzer”, co oznacza drobnego, chłopskiego posiadacza ziemi – nijak ziemskiego. Autorowi „udało” się także „znaleźć w zasobach archiwalnych parafii” sylwetkę starego kościoła, w którym ochrzczono Mariana. Tymczasem ten wielki sukces, to odkrycie Ameryki, udokumentowane zostało w niejednej już pracy, a także w monografiach Wiela i gminy Karsin, których autor chyba nie zna, choć sporo w nich informacji i materiału do sprostowań powielanych nieścisłości dotyczących życia M. Mokwy. Autor pisząc o Wielu, odwołuje się do pięknie ilustrowanej broszurki ks. Eugeniusza Filipkiego. Skąd jednak czerpie informacje o udziale mieszkańców Wiela w Odsieczy Wiedeńskiej, czym ponoć Wiele się chlubi, nijak nie potrafię się domyślić! Myli autor rzeczywistość historyczną z literacką i legendarną, którą na swój sposób, zamiast uściślać,

prostować, wzbogaca. Według R. T. Bławata to z okolicy Wiela wyruszyło najwięcej ochotników pod Wiedeń! A co na to mieszkańcy Gochów, choćby Brzeźna Szlacheckiego?

W temacie rodowodów R. T. Bławat może zyskać szczególne uznanie wśród przedstawicieli kociewsko-kaszubskiej rodziny Mokwów, których genealogię wywodzi on z Alzacji i tragicznej wyprawy Napoleona na Moskwę, skąd przodek Mariana pojawił się na Pomorzu jako von Moskwa, a jego następca, pradziad artysty ze względów patriotycznych, „chcąc pozbyć się wszelkich skojarzeń ze zniechęconym zaborcą, zmienił jedną z liter i zaczął się podpisywać *Mockwa*. Jego syn opuścił literę »c« (s. 21) i... – legenda gotowa. Jakby tego wątku francusko-rosyjskiego było mało, na stronie 51 przywołane są też tatarskie korzenie Mokwy! Tymczasem przecież zupełnie co innego piszą językoznawcy zajmujący się pomorskimi nazwiskami. Autor jednak, szukając etymologii nazwiska, nie odwołuje się do prac onomastycznych, tylko przywołując „stosowne” pojęcia z języka kaszubskiego, czyli pomorskiego, powołuje się na artykuł „M. R. Bławat, *Marynista znad Wdzydz cz. I*, Pielgrzym, 1993 r., nr 15, s. 7–8”. Tak oto dla Bławata Bławat stał się językoznawczym, naukowym autorytetem!?

Nie tylko z nazwiskiem autor ma problem. Podobnie z geografją. Bez wątplenia M. Mokwa kochał „swoje” Kaszuby, a szczególnie strony wdzydzkie. Znał tamtejsze legendy, nowe tworzył, malował przepiękne zakątki – pejzaże. Ale nie wierzę, by nie znał skojarzeń poszczególnych jezior, części wielkiego Jeziora Wdzydzkiego z odpowiednimi częściami krzyża. R. T. Bławat twierdzi, że jego podstawę stanowi Jezioro Gołuń, a jam dotąd był i jestem nadal przekonany, że Wielka Woda! Czytelnik nie zawsze musi się w tym orientować, ale badacza obowiązuje rzetelność i poprawność.

Bez wątplenia nowością, nie tylko dla mnie, jest informacja autora, iż w spuściznie artysty zachowały się jego materiały literackie, także spisane w języku kaszubskim legendy. Autor jedną z nich jakby cytuje i przywołuje dzieła literackie Aleksandra Majkowskiego i Franciszka Fenikowskiego. Każdemu z nich można by wybaczyć ulokowanie w powieści dwóch synów organisty z Wiela, z którymi uczył się Marian, a z nich jeden był później biskupem w USA. To kolejne odkrycie, niestety, nieudokumentowane. Problem także z nauczycielami, wśród których mógłby być Bonin, ale nie Bunin. Byli też „szkólni”, czyli nauczyciele o nazwiskach Gawrych, Olszewski, Bucholc (może inaczej pisani i gdzie indziej czynni). Jednak autor – badacz, historyk – jest i tu gawędziarzem, który barwnie opowiada, ale niczego nie wyjaśnia, wręcz mnoży wątpliwości. Gmatwa też dalej fakty dotyczące pobytu artysty choćby w Collegium Marianum, gdzie na pewno nie uczył ks. bp Augustyn Rosentreter, ale w opowieści gawędziarza, podobnie jak we wspomnieniach starca, wszystko przecież jest możliwe. Wprawdzie autor pisząc o pelplińskich latach, powołuje się nawet na ks. Janusza Pasierba, jednak myli go z J. Wojciechowskim (zob. s. 26 i przyp. 13!), co nie jest jedynym przypadkiem podobnych omyłek, do których trudno zaliczyć lokalizację dworca kolejowego zamiast w Bąku w Borsku! A właśnie do Borska dojeżdżał ponoć koleją M. Mokwa, będąc uczniem gimnazjum w Starogardzie.

O ile wiem, są także w Toruniu i Gdańsku uczeni związani nawet rodzinnie ze stolicą Kociewia, którzy sporo mogliby autorowi wyjaśnić, by okres starogardzki życia M. Mokwy był mniej legendarny, a lepiej rozpoznany. Dotyczy to także „Filomackiego buntu”, w którym to rozdziale R. T. Bławat przypisał teraz nie tylko J. Szewskowi, ale i Janowi Karnowskiemu, właściwemu badaczowi, autorstwo publikacji, na którą się powołuje.

Pomijam dalsze „nieścisłości”, niekonsekwencje, nieład, pomieszanie z poplątaniem faktów i mitów, błędne zapisy w przypisach, przywoływanie ni stąd ni zowąd Floriana

Ceynowy itp. Jest tak w podrozdziale „Kaszubskie stolemy Reńka”. Tu szczególnie bogate w błędy jest rozpisywanie się na temat udziału M. Mokwy w ruchu młodokaszubskim. Dla autora liczy się głównie spóźniona relacja bohatera, zapisana bez znajomości rzeczy przez K. Wójcickiego; jeszcze także bedekery kaszubskie i przypadkowe artykuły prasowe, a także literacka *Historia Kaszubów* Aleksandra Majkowskiego, z którym M. Mokwa miał być zaprzyjaźniony. „Gdy go poznałem na weselu Teodory i Izydora Gulgowskich, studiował medycynę w Berlinie, ale już wtedy miał kontakty z »Gazetą Gdańską«” (s. 37) – mówił Mokwa⁵. Miał prawo, ale my nie możemy tego wspomnienia – gawędy nie konfrontować z innymi źródłami, które już bez głębszych studiów ujawniają pomieszenie faktów i czasu w pamięci... R. T. Bławat wszystko bierze za dobrą monetę. Stąd powtarza błędy Mistrza i... monachijską „Vistulę” A. Majkowski miał założyć w Gryfii. To także Majkowski sprzed pierwszej wojny jest jakoby twórcą przykazań, które znamy jako „Pięć prawd Polaków”, aktualnych dopiero od końca dwudziestolecia międzywojennego w środowisku Związku Polaków w Niemczech. Przy czym autor omawianej książki powołuje się na artykuł emerytowanego farmaceuty, zacnego Jerzego Nacla z łamów „Pomeranii”, gdzie takich odkryć nie odnajduję. Nie znajduję też potwierdzenia odkrywczych stwierdzeń autora, jakoby obecnych w mojej monografii, dotyczącej inteligencji polskiej Prus Zachodnich (zob. s. 40 i przyp. 42).

I tak czytając recenzowaną książkę, pięknie się prezentującą – tytułem i okładką – bronić się muszę przed delikatnością określić, którymi się tu posługuję, jak i przed nadmiernym wstydem, jaki jest moim udziałem z tytułu tej tu promocji owego dzieła... Jednakże dla przyzwoitości i potwierdzenia powyższej opinii kilka kolejnych kwiatków z pięknej łączki przedstawiciela bardzo mi bliskiej od dzieciństwa (także poprzez łąki na Trzcionkach pod Górkami) familii wypada przytoczyć. Oto przykłady:

– s. 41: o Hieronimie Derdowskim czytamy, iż „Uważa się go za autora słynnego powiedzenia: »Nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polski«, a także słynnego refrenu [sic!] marsza kaszubskiego: »Nigdy do zguby nie przywiodą Kaszuby«”. – A ja myślałem, że H. Derdowski jest autorem i nie tylko powiedzenia czy refrenu, ale całego marsza itd.;

– s. 43: Izydor Gulgowski – „Pisał artykuł do prasy »Gryf«, »Pomorze« w języku niemieckim i polskim. Jedną z jego ciekawszych prac jest »Pieśń o ziemi kaszubskiej« i »Kaszubi«, gdzie przedstawiał życie i obyczaje Kaszubów”. – Czy trzeba to komentować?;

– s. 45: „W Cisewie³, do którego Hellgreve lubił przyjeżdżać latem – jego przyjaciel Szembek – właściciel ziemski, wybudował na skarpie nad jeziorem Wdzydze letnią pracownię”. – Cisewie (w Cisewiu) nad J. Wdzydzkim!? Przypis 3 głosi: „W 1920 r. tę pracownię za zasługi w czasie Powstania Wielkopolskiego otrzymał Paweł Jasnocha [sic!], stara jej nazwa to »Jasnochówka«”. – Litości! Nieznajomość Kazimierza Jasnocha i przez niego nazwanej „Jasnochówki”, przy niejednej publikacji dotyczącej tej postaci, to być może źródło owych „artystycznych” innowacji!? (W „Zakończeniu” jeszcze raz przywołany jest ten twórca – tym razem jako Kazimierz Jasnocha!?)

– s. 42, 47: tam „oryginalne” informacje i przypisy z powołaniem się na relację dyrektora Krzysztofa Grabowskiego, mojego kolegi i przyjaciela od lat szkolnych, który w naszej rozmowie ich nie potwierdził.

Skupiłem się na części pierwszej, gdyż ten fragment najwyżej ocenił jeden z recenzentów. Jednocześnie tu było i jest największe pole do sprostowań nieścisłości, obecnych

⁵ Por. s. 42, gdzie czytamy: „W środowisku skupionym wokół Aleksandra Majkowskiego Reniek poznał kolejne autorytety: Teodorę i Izydora Gulgowskich”.

w opowieściach samego M. Mokwy. Jednakże ten fakt – *Rozmowy z Marianem Mokwą* – nie tłumaczą nijak kiepskiej roboty badacza (badaczy, bo przecie nie sam autor jest jedynym twórcą książki – doktoratu).

O dobrym w niektórych środowiskach przyjęciu prezentowanego dzieła zadecydowała wyjątkowość życia i twórczość bohatera, zasługującego w pełni na dobrą biografię – dobrą robotę historyków i historyków sztuki. Istotne są także liczne, również kolorowe, ilustracje, autentycznie wzbogacające bogatą w różności narrację autora. Dzięki okazanej mu życzliwości i zaufaniu rodziny M. Mokwy miał on dostęp zarówno do archiwów rodzinnych, jak i do nieznanych dzieł. Wykorzystanie tych pierwszych przerosło jego możliwości. Ilustracjami i opisami tych drugich wniósł coś nowego do naszej wiedzy o M. Mokwie. W tej materii na uwagę szczególną zasługuje przedostatni, króciutki (pod)rozdział „Tematyka sakralna” (s. 209–212).

W dotychczasowych opracowaniach dotyczących twórczości M. Mokwy tematyka sakralna w moim odczuciu nie istnieje. Stąd niezmiernie cenię, jako samotny unikat, obraz Madonny z Dzieciątkiem interesującego nas mistrza, znajdujący się w rodzinnych zbiorach, a pochodzący sprzed pierwszej wojny światowej. R. T. Bławat ujawnił też kilka innych nieeksponowanych dotąd dzieł sakralnych tegoż artysty, konkretnie dwa obrazy: „Cierpiący Chrystus” i tryptyk „Madonna Swarzewska – Królowa Polskiego Morza”, znajdujące się również w prywatnych zbiorach. Pomijam tu jakość opisu i komentarzy autora, będących połączeniem opisu z przywołaną gawędą.

W zakończeniu autor formułuje generalne oceny twórczości M. Mokwy, lokalizując go w środowisku twórców z tzw. Wybrzeża i Polski. Píše na koniec, że „jego malarstwo stało się w pewnym sensie dokumentem życia Wybrzeża, jego przeszłości i teraźniejszości, zapisem pejzażu i historycznych wydarzeń” (s. 223). Z tym stwierdzeniem historyk może się zgodzić, ale od historyków sztuki można by oczekiwać czegoś więcej.

Za nieporozumienie i przeoczenie ze strony promotora i recenzentów przyjmuję ostatni akapit omawianego dzieła, swoistą powtórkę: „Mało kto wie, że Marian Mokwa był również utalentowanym pisarzem i poetą, piszącym w języku polskim i kaszubskim (pisał przeważnie odręcznie, niewyraźnie i ołówkiem). Jednak ta sfera jego twórczości wciąż czeka na swego odkrywcę i badacza, który przywróci jej rangę i miejsce w kulturze Wybrzeża” (s. 223). Chciałbym bardzo, by autor się nie mylił, ale przywrócić rangę, której nigdy nie było, mógłby tylko ktoś podobny jak sam autor – lepszy gawędziarz niż historyk sztuki. Stąd gotów jestem przyjąć zaprezentowaną książkę jako przewodniczką opowieść o życiu i twórczości M. Mokwy, który nadal musi czekać na swoją pełną biografię.

Na marginesie teje książki trzeba dobitnie raz jeszcze postawić pytanie o jakość prac naukowych, doktorskich w szczególności. Także o jakość pracy promotora i recenzenta, a o redaktorach ze strony edytora też zapomnieć nie wolno. Ich praca w dużej mierze składa się na jakość autorskiego dzieła. Niestety, praca i książka o Marianie Mokwie w tym kontekście miały zezowate szczęście. Mimo wyjątkowości postaci i dorobku bohatera, a także nieubogiej literatury naukowej biografia „Stolema z morza i Kaszub” wymaga nie tyle stolemowego trudu, ile w pierwszym rzędzie zwyczajnej, solidnej roboty. Chodzi tu, obok roboty autora, także o pracę promotora i recenzentów, o ich odpowiedzialność za słowo. Od lat postuluję opracowanie wymagań minimum, dotyczących prac – kolejnych stopni naukowych. Zacząć wypada od najmniejszych – licencjat, magisterium i doktorat. Również żenuje brak odpowiedzialności za drukowaną książkę edytora, rezygnującego najczęściej z recenzenta wydawniczego, jak i rzetelnej pracy redaktora, który w normalnych kiedyś

warunkach potrafił ustrzec autora przed jego błędami, nieściślościami. Żenuje, przy braku rzetelnej roboty edytorskiej, redaktorska reklama – promocja książki w „Słowie wprowadzającym”. Sądzę, iż czas najwyższy zadbać także od strony prawa o odpowiedzialność za jakość wszelkiej reklamy, również w przypadku książki. Szczególnie smutne jest to, iż książka reklamowana jako popularnonaukowa tak bogata jest w sygnalizowane i inne błędy, także faktograficzne, które szkodzą wizerunkowi bohatera i odbiorcom tejże publikacji. Może nie do wszystkich autorów jeszcze dotarło, iż pisanie prac popularnonaukowych wymaga równie solidnej roboty i rzetelności. Tymczasem omówiona książka to, można rzec, przykład straconej szansy, jeśli chcemy do końca unikać dosadnych stwierdzeń, na które w pełni zasłużyła.

Jestem gotów uwierzyć w to, że autor, korzystając ze środków Unii Europejskiej, odwiedził Krym, Berlin, Monachium i Rzym, jednak nie zauważyłem, by zaowocowało to przyzwoitym poziomem omówionego dzieła.

Józef Borzyszkowski (Gdańsk)

